



22.9.2017 spotkały się trzy plemiona Indian o 15:15 na zaporze. Zjazd miał trwać aż do sobotniego popołudnia, toteż już po chwili odbył się pierwszy krąg informacyjny.

Dowiedzieliśmy się, że bardzo dużo umiejętności nam brakuje, więc zabraliśmy się do poprawiania ich. Najpierw ćwiczyliśmy sygnały dymowe. Każdy posyłał po kolei sygnały za pomocą chmurek z danym obrazkiem. Może się to wydawać łatwe, ale w rzeczywistości niekto rym chmurom trwało dosyć długo niż doszły do adresata.

Kiedy już wszyscy umieli posyłać sygnały dymowe, to poszliśmy doskonalić rzuty piłką na cel. Naszym zadaniem było rzucić piłką w pewną wysokość słupa, ale w tym zadaniu nam przeszkadzało drugie plemię, które za wszelką cenę chciało nam przeszkodzić w tym zadaniu. Wygrało plemię, które temu udało się więcej razy trafić w słup.

Później, kiedy na preriach zapadła czarna czarna śma, szły plemiona szlifować swój wzrok do labiryntu pełnego pułapek. Kiedykolwiek ktoś z plemiona usłyszał dzwonek lub deformowanie plastyku, musiał opuścić swe plemię i milczeć aż do wyjścia plemienia z labiryntu. Pozostałe plemiona w tym czasie grały grę pamięciową - karimatę. W pierwszym kole wszyscy Indianie mieli imiona jedno lub dwu słowne związane z pokarmami, a w drugim kole każdy musiał swoje „imię” dwa razy przedłużyć, to znaczy, że jeżeli w pierwszym kole się nazywałam zupa pomidorowa, to w drugim byłam zupą pomidorową z makaronami.

Kiedy już wszystkie plemiona przeszły przez labirynt, to zaczęliśmy się przygotowywać do świeczkowiska. Wódz Kaja zaczęła przygotowywać teepee, a my zorganizowaliśmy sobie bal między plemienny. Wszyscy bardzo dobrze się bawili.

Wreszcie nadeszła pora otwarcia teepee, które było zbudowane z firanek i foteli, zawieszonych na starym parasole, który wisiał na lampie, i otoczone lampkami na choinkę. Wszyscy zostaliśmy stać z rozdziawioną buzią. Atmosfera w teepee była ciekawa, dlatego że było bardzo mało miejsca i czuliśmy się, jak wesole sardynki w puszcze.





Rano przygotowaliśmy się na rytuał. Każdy z nas dostał karteczkę z informacją, w jaki sposób możemy się poruszać lub mówić, i jak ma wyglądać rytuał i my. Niektórzy mogli chodzić tylko po kafelkach, tak jak koń po szachownicy, inni mogli chodzić tylko po stołach, a jeszcze inni mogli tylko się pełzać. Ktoś mógł mówić tylko tak, nie, kaloryfer, parasol a inny tylko jemu mógł odpowiadać. Ktoś mógł tylko rysować, inny tylko mówić od tyłu. Rytuał wyglądał tak, że na Marianie leżał Marcin, na którym było futro, na którym leżały święte przedmioty (siekiery), pozostali byli ustawieni do półkola i zaczęli tak, że zaśpiewali indiańską piosenkę hugaczaga wraz ze skakaniem na jednej nodze i dłubaniem się w nosie, potem zrobili dwa przysiady, zanieśli każdy po kolei gumowego niedźwiadka na ołtarz i gotowe.

Później nastąpił obiad - zupa, który był o to ciekawszy, że akwarko jadło zupę własną wyrobioną łyżką. Niektóre łyżki miały dość ciekawe kształty.

Po obiedzie nastąpiło sprzątnięcie i do domu.

Indianami na zjeździe byli: Ramona, Marcin, Jagna, Nadia, Banan, Kajus, Duduś, Danuśka, Irka, Wiki, Mimi, Chorz, Elo, Łoś, Stacho, Bea, Asia, Marian, Pedro, Fifcz, Michał, Ania, Krzysztof.

Bea

